

Listy z komentarzami

List Edmunda Husserla do Arnolda Metzgera

[podstawa przekładu: *Brief Edmund Husserls an Arnold Metzger*, w: A. Metzger: *Phänomenologie der Revolution. Frühe Schriften*, Frankfurt am Main 1979, s. 104–110]

Bernau w Badonii, 4 września 1919 r.

W ostatnich tygodniach, na ile tylko pozwolił mi na to ruch w gospodarze w Schwarzwaldzie, poddałem się oddziaływaniu rękopisu, który od Pana otrzymałem i podjąłem wysiłek zagłębienia się w Pańskie myśli¹. Mówi to wiele o sile rezonansu, jaki wzbudziły w mojej duszy już pierwsze zdania, na które z przecuciem padło moje spojrzenie, jak również o rozwijającej się sile uczestnictwa, udziału w myśleniu i namysłu nad sobą, w które mnie ona wciągnęła. Jest to tym bardziej wymowne przy stanie moich oczu, dla których już samo czytanie to trudna sprawa, czytanie zaś tak bladego i niewyraźnego pisma to już prawdziwa męka. Na szczęście mogłem dać w pewnym momencie do czytania rękopis mojej córce i obserwować przy tym wrażenie, jakie wywiera on na jednej z tych młodych dusz o, powiedziałbym, surowej prostocie i szczerości, w których pomimo okropnych przeżyć wojennych wystrzeliły one czystym światłem. – Ton czyni muzykę. Usłyszeliśmy – my, nieufni, którzy w wyniku tylu złych doświadczeń z innymi i samymi sobą stali się tak sceptyczni, tak wyczuleni – usłyszeliśmy czysty, tak, naprawdę czysty ton: ton prawdziwie niepomnego siebie oddania »ideom«. Zrozumieliśmy to radykalne usposobienie, mocno zdecydowane, żeby nie prowadzić życia jak interesu handlowego, widząc w nim ciąg dwóch rubryk „winien” i „ma” (w których „winien” nie oznacza nic innego, jak tylko wymogi „ma”), śmiertelnie wrogie wszelkiemu „kapitalizmowi”, wszelkiemu bezsensownemu gromadzeniu „ma” oraz, korelatywnie, wszelkim egoistycznym wartościom osobistym – włączając w to zaszczyty, sławę, dumę, nawet dumę z reforma-

¹ Por. A. Metzger: *Phänomenologie der Revolution. Eine politische Schrift über den Marxismus und die liebende Gemeinschaft*, Frankfurt am Main 1979.

torskich zamysłów, celów, misji. Możemy uznawać się za zjednoczonych, i to, mam nadzieję, raz na zawsze, w niewidzialnym związku „przyjaciół Bożych”, „braci żyjących w prawdzie”. To samo usposobienie mogę bowiem chyba uznać za ostateczny plon również własnego, osobistego rozwoju mojego niełatwego życia. Przesłanie mi Pańskiego pisma – *tego* pisma – dowodzi zresztą wielkiego zaufania, które to samo usposobienie już u mnie zakłada i za które chciałbym Panu serdecznie podziękować. Zaufanie to mogło wynikać tylko stąd, że poza bezbarwną suchością i radykalną rzeczowością moich pism wyczuł Pan osobisty etos, będący ich podłożem. I faktycznie nie pomylił się Pan, gdyż zrodziły się one (tak jak Pańskie) z potrzeby, z niewypowiedzianej potrzeby duszy, z zupełnego „załamania”, z którego był tylko jeden ratunek: zupełnie nowe życie, rozpaczliwie i zacięcie zdecydowane, aby radykalnie uczciwie zacząć je od nowa i kontynuować, nie cofając się przed żadnymi konsekwencjami. Nie oznacza to, jakobym już wówczas, czyli w ostatnim dziesięcioleciu zeszłego wieku, przejrzał wewnętrzną pustkę określić woli, które opanowały całą europejską kulturę, a w szczególności poddał głębszej krytyce jej najdoskonalszy wyraz, bezprzykładny wzlot nowego, niemieckiego państwa – i w ten sposób wszechstronnie przeorientował na nowo również moje własne życie. Nie miałem wówczas jeszcze wyrobionego spojrzenia na rzeczywistość praktyki i kultury, jeszcze żadnego rozpoznania ludzi i narodów, żyłem jeszcze wolą prawie wyłącznie teoretycznej pracy – choć decydujące bodźce (które popchnęły mnie od matematyki do zawodowego uprawiania filozofii) leżały w sferze przemożnych przeżyć religijnych i [związanej z nimi mojej] zupełnej przemiany. To bowiem potężny wpływ Nowego Testamentu na dwudziestotrzylatka wyraził się przecież w dążeniu, żeby przez ściśle filozoficzną naukę odnaleźć drogę do Boga i do życia w prawdzie. Lecz oto spostrzegłem, wychowany na Weierstrassie i jego prawdziwie źródłowej matematyce do intelektualnej czystości, że filozofia współczesna, która tak obnosi się ze swoją naukowością, zupełnie zawiodła i w ten sposób uwłacza idei filozofii – aby być najbardziej radykalnie rzetelnym spełnieniem wszelkiej nauki. Zawiodła nie tylko ona, lecz również wszelka filozofia będąca dziedzictwem historii – wszędzie niejasność, niedojrzałe dywagacje, połowiczność lub w ogóle intelektualna nierzetelność. Nic, co można by przyjąć za część, za początek poważnej nauki. Krytyka – bezbrzeżna, niema, ponieważ brak jej pewnej podstawy, która mogłaby doprowadzić do jakichś wniosków – nie może w niczym pomóc.

Widzi Pan, moje początki, moje źródłowe motywy i potrzeby, absolutne dążenia, jakimi obrosłem, być może wolno mi powiedzieć (jak mi się to samo w sposób nieunikniony narzuca i nazywa) moja misja – są inne niż Pańskie. A jednak spotykają się one i moja teoretyczna praca życia wykonana została dla Pana: Pana, który z zawodu i z własnej woli jest praktykiem. To, co przeze mnie, jeśli wolno mi tak powiedzieć, teoretycznie wypracowane w najbardziej namiętnej woli szczerości i w najbardziej żadnej wątpliwości samokrytyce, wymaga z Pańskiej strony

rozumiejącego przestudiowania. I dopiero wówczas przyjdzie czas na źródłowo przeznaczone *Panu* zadanie, aby podjąć się studiowania rzeczywistości ludzkich, ich filozoficznego objaśnienia i kierownictwa. Moim zadaniem to nie jest, nie jestem powołany na wodza poszukującej »zbawienia« ludzkości – w nawale cierpień lat wojennych musiałem to uznać, mój daimonion mnie *ostrzegł*. W pełni świadomie jestem zdecydowany żyć jako czysto naukowy filozof (dlatego nie napisałem żadnego wojennego pisma, uważałbym to za pretensjonalne filozoficzne kabotyństwo). Nie dlatego, jakoby prawda i nauka stanowiły dla mnie najwyższą wartość. Przeciwnie: »Intelekt jest sługą woli«², a zatem również ja jestem sługą tych, którzy praktycznie kształtują życie, przewodników ludzkości. Pan wprawdzie tego podziału ról nie uzna, jest Pan młody i pełen tryskającej świadomości siły, sądzi Pan, że może i musi chcieć jednego i drugiego. Lecz Pański daimonion – o ile Bóg zachowa Pana w sokratejskim usposobieniu i radykalizmie życia w prawdzie – jeszcze we właściwym czasie przemówi. Wprawdzie wystarczy, aby podjął Pan to, co już sobie opracował, co Pan sobie najgłębiej przyswoił, bo żywa dusza może tylko rozmyślając nad sobą i w ten sposób kontynuując myślenie rozważać myśli, które się jej nasunęły. Chciałbym jednak Pana ostrzec, a przynajmniej upomnieć o ostrożność. Najwidoczniej nie wie Pan jeszcze (mam powody, żeby tak twierdzić), jak niewypowiedzianie powikłana jest domena fenomenologicznych praźródeł idealistyczno-praktycznego wytyczania celów. Wie Pan chyba, w jak niewielkim stopniu kraj „Matek” (*Reich der „Mütter”*) podobny jest do bezgranicznie ciemnej nocy, w której stare kobiety przędą swe straszliwe sieci³ lub którą postulatyczna wyobraźnia zaludnia metafizycznymi upiorami. Wie Pan również, że światło fenomenologii rozjaśniło patrzącym oczom światy idei, ale owego nieskończonego bogactwa praźródłowych procesów, w których widzę medium dokonującego swego dzieła boskiego życia (życia „stwarzającego” światy rzeczy i światy idei), dotychczas nie chciał Pan dostrzec. Ale pochodzi to stąd, że jako samodzielny myśliciel podąża Pan *swoimi* drogami i wydaje się Pan sobie *pewny*, nie rozumiejąc przemożnych motywów, domagających się natychmiastowego wypełnienia intencji, które określiły mój rozwój filozoficzny od *Badań logicznych* i doprowadziły w jego ramach do nowych, absolutnie niewątpliwych wglądów. Wprawdzie tragedia mojej sytuacji życiowej polega na tym, że – początkowo w wyniku wojennego wstrząsu i okresowych nadmiernych obciążeń, lecz następnie również w wyniku przemożnie napierających na mnie z roku na rok mas wciąż nowych fundamentalnych problemów, w namiętności parcia naprzód i potrzebie duchowego samozachowania – nie doszedłem do

² Por. A. Schopenhauer: *Świat jako wola i przedstawienie*, tłum. J. Garewicz, Warszawa 1994–1995 (przyp. tłum.).

³ „W samotnej krainie/Odosobnione mieszkają boginie;/Wkoło nich nie ma czasu i przestrzeni;/ Nikt ich bez pewnej zgrozy nie wymieni./Są to Matki”, por. J.W. Goethe: *Faust*, tłum. J. Paszkowski, Kraków 2004, s. 255 (przyp. tłum.).

żadnych ostatecznych publikacji. Również to, co już opracowane, jak druga księga *Idei*, rozjaśniona nowymi światłami, nie chciała mi już wystarczyć i po tym, gdy rozpoznawszy wpierrw nadmierne trudności skondensowanego przedstawienia, zacząłem ją przerabiać, książka ta wykroczyła poza swój początkowo naturalny układ. Nie wie Pan więc wprawdzie, jak daleko w rzeczywistości posunąłem się w moich badaniach, ani jak daleko Pan sam mógłby się w nich posunąć. Nie chcę oczywiście wzbudzić w ten sposób wrażenia, jakobym już dysponował jakąś filozofią, jakimś wszechstronnie przemyślanym i ukształtowanym do postaci nauki systemem. To sprawa Boga. W obliczu moich skromnych sił jest on i pozostanie w dali niebios leżącą ideą. Mówię jednak o obezwładniającej pełni problemów całkiem nowego wymiaru, do których już pierwszy, opublikowany tom *Idei* nie tylko otwiera dostęp, lecz stwarza również podstawy, metodę, ścisłą pojęciowość dla ich przebadania, zarysowując zarazem nowy typ całościowego oglądu świata i wytyczania celów praktycznych.

Za wszystkim tym, o czym piszę, kryje się cała masa poważnych myśli, które wzbudziła we mnie Pańska praca. W taki jednak sposób, w jaki Pan sam je rozważa, nie pisząc na ten temat rozprawy, co dla mnie jest niemożliwe. Jakżebym jednak chciał, gdybym tylko mógł, wykazać Panu bliżej, jak podbił moje serce Pański wspaniały etyczny radykalizm (wszelka prawdziwa filozofia jest radykalna, maksymalistyczna w dobrym sensie tego słowa), niezależnie od tego, że z głębokich i pewnych powodów – rozważanych przez lata – wiele kwestii budzi moją wątpliwość i często moje zdecydowane „nie!”. Nie dotyczy to oczywiście nadawania przez Pana sensu pracy przez stałe nakierowanie na idee ani w swej uniwersalności formalnego wymogu całkowitego nawrócenia ludzkości na godność prawdziwej, idealnie zorientowanej pracy. Tak samo nie dotyczy to również oceny marksizmu, nacjonalizmu wszelkiej postaci i rodzaju, wykazywanego przez Pana przechodzenia każdego antropologizmu, biologizmu, pozytywizmu w anty-etyczny – etycznie bezpodstawny, gdyż bezideowy – egoizm, którego rewersem społecznym jest kapitalizm w szerokim sensie tego słowa. Nie mogę jednak podążać za Panem, gdy stawia Pan w jednym szeregu racjonalizm i filozofię transcendentalną i wydaje się Pan nie dostrzegać wielkości niejasno tkwiących w tych tradycjach motywów, które dopiero w fenomenologii stają się określoną problematyką badawczą. Mówiąc otwarcie, moje ogólne wrażenie z Pańskich rozważań z historii idei jest takie, że nie wykształcił Pan w sobie jeszcze w pełni zmysłu dla ducha historii, tak samo jak ja dopiero bardzo późno dostrzegłem, jak się on we mnie kształtuje. (Przypuszczam w związku z tym, że również Pan wyszedł od studiów przyrodniczych). Bóg i świat Boży, szukający Boga, jako dziecko Boże żyjący człowiek itd. – wszystko to zacznie znaczyć dla Pana coś nowego, bogatszego, kiedy tylko zyska Pan oko do historii i – co wcale od tego nieodległe – oko do absolutnej samoobserwacji, a także obserwacji „świata” jako bieguna czystej subiektywności. Przede wszystkim potrzeba, aby zweryfikował

Pan swoje wiadomości (*umlernen*) na temat filozofii transcendentalnej, zaczął od nowa; co nie znaczy, jakobyem zalecał Panu dewizę „z powrotem do Kanta”, która zawsze była mi obca i taką też pozostała. Do Kanta powinien Pan kiedyś wrócić w całkiem nowym sensie, innym, niż się to zwykle przyjmuje, a mianowicie [dopiero] wychodząc od jasno ugruntowanej, wyrosłej z własnych motywów transcendentalnej filozofii fenomenologii przyswoić sobie z radością motywy, które rządzą Kantowskimi usiłowaniami, i to samo uczynić w odniesieniu do pokantowskiego idealizmu! Od Hume’a nauczyłem się nieporównanie więcej niż od Kanta, do którego odczuwałem najgłębszą antypatię i który (jeśli słusznie to oceniam) w ogóle mnie nie określił. A jednak, *teraz* jest on także dla mnie większy i wyższej rangi niż Hume. Lecz bronię tu moich *Idei* i nie omieszkam uczynić Panu, połączonemu ze mną w duchu, zarzutu. Jak doszło do tego, że Pan, tak głęboko określony w całym swoim ujęciu świata przez moje *Badania logiczne*, jak to Pan przyjaźnie wyznaje, nigdy mnie osobiście nie odwiedził – w celu rzeczywistego i owocnego ustanowienia „miłującej wspólnoty”⁴? Jak doszło do tego, że swoje refleksje podczas studiowania moich *Idei* tak szybko i zdecydowanie obrócił Pan w negację, nie omawiając przedtem ze mną tych refleksji osobiście? Jak poradził Pan sobie z tym, że te same *Badania logiczne*, które Pan potraktował w ich sednie jako zadowalający *koniec*, ja sam ocenilem jako wyłącznie *przejście* do wyższego rozwoju, o którym jestem przekonany w sposób tak pewny, jak żyję, że dopiero w nim wypełnia się moja prawdziwa, zrządzona przez Boga (*gottgewollte*) misja? Przez prawie dziesięć lat żyłem zapamiętałą, często rozpaczliwą pracą, do której zmusiły mnie *Badania logiczne*. Ponad dziesięć lat nie mniej zapamiętałej, nie mnie wyczerpującej pracy wymagały ode mnie *Idee*. Tak samo jak *Badania logiczne*, również one powstały z czysto wewnętrznych motywacji, jako rezultat stałej, niepokromionej, wewnętrznej woli i wzrostu. Sądzę, że żaden rozwój nie był bardziej prosty, bardziej nakierowany na cel, bardziej predestynowany, „demoniczny”. Kiedy opublikowałem *Badania logiczne*, dręczyło mnie fatalnie rozdarte, logiczne sumienie (dlatego formalnie oderwały mnie one od najbliższych mi osób), czułem, choć nie wiedziałem dlaczego, że nie stoję jeszcze na w pełni czystym filozoficznym gruncie i nie mam jeszcze czystej metody, wszechstronnie jasnego horyzontu pracy. Kiedy tylko jednak – w sześć tygodni, bez planu jako podstawy, niczym w transie spisałem moje *Idee* i oddałem je natychmiast do druku, dziękowałem z całą pokorą Bogu, że wolno mi było napisać tę książkę i wciąż nie pozostaje mi nic innego, mimo licznych niedoskonałości tego dzieła w szczegółach. Wciąż muszę mu dziękować, że w ciągłym oddziaływaniu starych i wciąż na nowo rozgałęziających się motywów pozwala mi dostrzegać nowe i nowe horyzonty problemów oraz otwierać się przede mną wciąż nowym drzwiom. Pan jednak napisał swoją dysertację doktorską, w której sądził Pan, odwołując się do

⁴ Por. podtytuł rękopisu Metzgera, wyd. cyt., s. 15 (przyp. tłum.).

wszelkich możliwych argumentów oraz z pewnością mądrzejszej (takie było, jak sobie przypominam, moje wrażenie) niż powszechnie znanej, przeciwnej literatury przedmiotu, że może odeprzeć transcendentalizm, moje *Idee*. Głębszy sens tego dzieła pozostał Panu obcy, musi Pan spróbować na nowo podjąć się jego, trudnego z pewnością, przestudiowania. Nie ma w nim ani jednego zdania, które nie byłoby wyrazem tego, czego bym naprawdę nie zobaczył (*wahrhaft Erschaute*). Tymczasem rzeczywiście wrośł Pan w żywego ducha *Badań Logicznych*, jakże inaczej, aniżeli przez nie miałby Pan wrosnąć w *Idee*. W każdym bądź razie jest to ważna sprawa. Ja, którego całym życiem było uczenie i ćwiczenie czystego widzenia, jak również walka na rzecz jego pierwotnych praw, powiadam: kto przebił się (w pracowitym wypełnianiu intencji) do czystego widzenia, ten jest przez powtarzanie procesu wypełniania zupełnie *pewien tego*, co zobaczone jako „danego źródłowo”, i o tyle też ma „czyste sumienie”. Następnie, jeśli chodzi o metodę, horyzonty, pole badań *Idei*, powiem tylko jedno: patrz! Naprawdę, wierzę, że z pełną świadomością odpowiedzialności *wolno* mi to powiedzieć. Nie wyklucza to bynajmniej, że wiele jest tu do poprawienia, że tu i tam do książki mógł zakraść się i zakradł się fałsz. Nie zaniedbam powiedzieć, że jest dumą pra-fenomenologii i oznaką jej ściślej naukowości, że możliwe są w niej zdania fałszywe, fałszywe w sensie ściśle logicznym, które okazują się za każdym razem takimi wobec zawartych w niej prawd. Mglista niejasność jest poza logiczną prawdziwością i fałszywością, i dotyczy to prawie całej dotychczasowej filozofii. Do wszystkiego tego należy podejść w dobrej wierze i rozumieć w duchu autentycznej skromności. Mówię o fenomenologii jak matematyk o matematyce: że jest ona nauką autentyczną (*echte*), czerpaną z czystej oczywistości, polem możliwych zdań prawdziwych i fałszywych – wbrew wszelkim sceptykom i mętным filozofom [każdy fenomenolog] powie tak, ponieważ „widzi”.

Dość jednak. To, że piszę do Pana w taki sposób, wynika z wielkiego zaufania do Pańskiego szczerego i czystego ducha, który zwrócił się do mnie w Pańskim piśmie i głęboko mnie poruszył. Dlatego nie mogę patrzeć, jak ogranicza Pan pole swojego widzenia, jak ma pozostać dla Pana niedostępne to, co dla Pana światopoglądu i dla Pana etyczno-politycznych dążeń musi mieć duże znaczenie. Pisałem też tak, ponieważ zaufanie do mnie, jakie u Pana muszę zakładać, wyklucza, aby mógł Pan uznać, że przemawiam do Pana jak zadowolony z siebie profesor, skostniałymi formułami i kalopami (*Callops*), a nie jak ktoś nieprzezwyciężający się stający.

Muszę kończyć tu, gdzie nie mogę wypowiedzieć się o tak wielu sprawach, które leżały Panu na sercu, również o frapującej relacji pomiędzy nowym ruchem rewolucyjnym a fenomenologią – także ja wielokrotnie o tej relacji myślałem, lecz jej w sposób zdecydowany nie uchwyciłem. To samo dotyczy zanegowania wszelkiego hierarchicznego porządku dziedzin wartości, którego nie mogę przyjąć w taki sposób, jaki Pan zdaje się mieć na myśli. O wszystkim tym chętnie się

wypowiem, kiedy tylko, jak sobie bym tego życzył, odwiedzi mnie Pan we Freiburgu. Chętnie rzuciłbym okiem na cytowane [przez Pana] artykuły w „Neue Rundschau”, może mógłby mi Pan je przysłać. Te kilka wolnych dni, na które jako ograniczony czasem dziekan mogłem sobie pozwolić i którym zawdzięcza Pan ten długi list, już się kończy. Wracam do Freiburga. Pozdrawiam Pana i życzę, aby Pański rozwój przebiegł tak, jak skłonna byłaby życzyć tego Panu moja nadzieja.

Pański
(podp.) E. Husserl

tłumaczył Andrzej Gniazdowski